

Mieczysław Weinryb

Mieczysław Weinryb ma 89 lat i jest inżynierem budowlanym. Urodził się w Zamościu, ale jeszcze przed wybuchem wojny przeniósł się do Warszawy. Wojnę przeżył w Związku Radzieckim. Zawsze był syjonistą, jednak nigdy nie udało mu się emigrować do Izraela. W czasie naszych rozmów często przytaczał długie fragmenty z Biblii, które niekiedy przeplatał krytyką zbyt ortodoksyjnej religijności. Spotkaliśmy się czterokrotnie w warszawskim mieszkaniu jego syna, który pracuje na Uniwersytecie w Yale. Wspólnie odtwarzaliśmy historię pana Weinryba i historię jego rodziny, oglądaliśmy rodzinne zdjęcia. Wiele z nich ocalało dzięki temu, że siostra pana Weinryba zabrała je przed wojną do Palestyny.

[Rodzina](#)

[Dzieciństwo](#)

[Lata wojny](#)

[Lata powojenne](#)

Rodzina

Nie pamiętam moich dziadków – zmarli zanim ja się urodziłem. Najstarsze osoby, które pamiętam w rodzinie to moi dwaj wujkowie. Brat mojej mamy miał dwie córki i syna. Nie pamiętam jego imienia oraz jego córek. Syn natomiast na imię miał Awigdor. Mieszkał w Lublinie. Brat mojego taty, Szalom Weinryb, miał syna Chaima Mojżesza i córkę Itę. Wuj był właścicielem młyna w Grabowcu, położonym 20 kilometrów od Zamościa. Okolica była żyzna, plony obfite, więc żyli dosyć dostatnio. Pomiędzy Zamościem a Grabowcem kursowały wtedy wozy, które – tak jak cygańskie – miały płócienne dachy. Przewoziło się nimi zarówno ludzi jak i różne towary. Na takich właśnie wozach jeździliśmy odwiedzać wuja i jego dzieci.

Mój ojciec miał także siostrę, Lee, która mieszkała w Kowlu. Po mężu nazywała się Rejder. Jej mąż był zarządcą w dużym młynie.

Mój ojciec nazywał się Eliasza Winryb. Urodził się około 1880 roku. Jego rodzina pochodziła z Zamościa. Nasi przodkowie, którzy przybyli do Polski kilka wieków wcześniej, należeli do Żydów sefardyjskich (sefardyjscy Żydzi osiedli się w mieście już pod koniec XVI wieku, ze względu na jego dobre położenie przy ważnym szlaku handlowym łączącym Warszawę, Lublin i Lwów). Ojciec prowadził sklep galanteryjny – sprzedawał swetry, wełnę, mufki, rękawiczki. Przychodzili do niego różni ludzie. Pamiętam, że ojciec zimą otwierał sklep w soboty po zmroku. Wszyscy tak robili, bo zimą szabas kończył się wcześniej; wtedy zawsze ktoś wpadał, ktoś czegoś potrzebował, na przykład kamasznicy przybiegali po nici. Sklep miał też swoje stałe klientki – żony oficerów z miejscowego garnizonu.

Ojciec był syjonistą. Zakupił nawet w Izraelu małą działkę z funduszu Keren ha-Jesod, ale ziemia nie była w za dobrej lokalizacji. Ojciec ubierał się po europejsku – nie nosił pejsów ani jarmułki. Zawsze miał krótki szczeciniasty zarost. Ojciec był dla nas bardzo dobry, czuły. Czasem się oczywiście denerwował. Miał zresztą sporo powodów do tego. Był kryzys gospodarczy, szczególnie 1929 był ciężkim rokiem.

Ojciec modlił się w sztiblu (w jidysz jest to mały dom modlitewny) z Żydami reformowanymi, takimi jak on. [od redakcji: w Zamościu wówczas żadna z żydowskich organizacji nie była oficjalnie uznawana przez Państwo. Życie religijne Żydów skupiało się wokół kilku mniejszych społeczności: Żydów ortodoksyjnych, reformowanych oraz chasydów. Żydzi ortodoksyjni mieli do swojej dyspozycji jedyną synagogę w mieście, podczas gdy reformowani oraz chasydzi modlili się w prywatnych domach modlitwy]. Pewnego dnia poszli całą grupą do synagogi ortodoksyjnej, ale zostali stamtąd przepędzeni.

Ojciec wraz ze swoimi przyjaciółmi działał na rzecz rozwoju edukacji. W 1921 roku wspólnie założyli w Zamościu szkołę Tarbutu, zwaną „Kadima”, co oznacza „naprzód” (była to prywatna szkoła żydowska uznawana przez Państwo). „Kadima” była szkołą czteroklasową. Fundusze na jej budowę pochodziły częściowo z wkładu własnego jej fundatorów, a częściowo ze zbiórek pieniężnych wśród mieszkańców Zamościa. Sam budynek był jednopiętrowy. Potem w Zamościu powstało gimnazjum żydowskie, ale z jego budową mój ojciec nie miał już żadnego związku.

Moja mama miała na imię Chana i urodziła się około 1880 roku. Pochodziła z Lublina. Jej rodzina mieszkała na słynnej ulicy żydowskiej – Lubartowskiej [była to ulica w samym sercu przedwojennej dzielnicy żydowskiej. Ulica ta często pojawia się we wspomnieniach lubelskich Żydów]. Nazwisko rodowe mojej mamy brzmiało Sztern. Rodzice poznali się prawdopodobnie przez swatów. ponieważ rodzina dziadków była ortodoksyjna. W ogóle to było bardzo ciekawe, obserwować jak wszystko się zmieniało. Nasze domostwo było już inne chociażby w odniesieniu do kwestii małżeństwa. Co prawda rodzice doradzali moim siostrze, jakiego męża wybrać, ale o szadchenie [swacie] nie było już mowy. Mniej więcej kiedy osiągnąłem wiek pełnoletniości, matka przestała nosić perukę. Nie oznacza to, że w piątki nie zapalała świec, to byłoby niedopuszczalne. Mama pomagała w sklepie, ale głównie zajmowała się prowadzeniem domu. Podobnie jak ojciec matka była syjonistką. Bała się jednak podróży przez morze. Wówczas do Palestyny emigrowało się najczęściej nielegalnie, statkami włoskimi albo przez Rumunię. Pewnie w końcu udałooby się ją przekonać, ale wybuchła wojna i rodzice nie zdążyli już wyjechać.

Miałem trzy siostry: Margolę, Sarę i Rywę oraz jednego brata – Mojżesza. Margolia była najstarsza. Urodziła się około 1902 roku. W Zamościu uczyła się w gimnazjum państwowym. Pod koniec lat 20. XX wieku wyjechała na studia do Warszawy. Skończyła tam Wolną Wszechnicę Polską, wydział przyrodniczo-matematyczny. Uczyła potem w szkole Tarbutu przy ulicy Nalewki 2. Nie zdążyła wyjechać do Palestyny, bo ją ciągle w tej szkole zatrzymywali prosząc, by została jeszcze trochę dłużej. Margolia miała najłagodniejszy charakter ze wszystkich moich sióstr. Zawsze się mną opiekowała. W rodzinie mówiło się nawet, że nigdy nie wyszła za mąż, bo poświęcała mi zbyt wiele czasu i uwagi. Była dla mnie jak druga matka.

Losy dwóch moich młodszych sióstr - Sary i Rywy - były podobne. Obie wyjechały do Palestyny w latach 20. XX wieku. Obie należały do Ha-Szomer Ha-Cair. W Zamościu przechodziły hachszarę. Był tam taki wykształcony w tym względzie agronom, który posiadał ogród warzywny i duże sady. On uczył szomrowców jak uprawiać ziemię.

Rywa urodziła się w 1906 roku. W Zamościu skończyła 6 klas gimnazjum. Ona pierwsza z naszej rodziny wyjechała do Palestyny. To było około 1925 roku. Na początku pracowała w prywatnym gospodarstwie u Arabów. Żyli tam w ciężkich warunkach. Panowała malaria. Nie mieli domów, tylko szałas. Dopiero potem udało im się utworzyć kibuc. Rywa zamieszkała w kibucu Ein Harod.

Jeszcze w Zamościu moja siostra miała takiego, można powiedzieć, narzeczonego, nazywał się Szalom Luksemburg. On też przygotowywał się do wyjazdu, ale zwlekał z tym cały czas i w końcu Rywa pojechała bez niego. W Palestynie poznała swojego przyszłego męża. Nazywał się Josif Jawnai i pochodził z Litwy. Wcześniej nazywał się Slept, ale po przyjeździe do Palestyny zmienił nazwisko na hebrajskie. Był bardzo odcytany a przy tym również bardzo pracowity. Pamiętam, że posyłałem mu książki z Polski. W ogóle muszę przyznać, że miałem bardzo porządnych szwagrów. Z czasem Rywa i Josif usamodzielnili się. Zaczęli od hodowli kur, potem uprawiali sady, aż w końcu zaczęli hodować krowy. To bardzo poprawiło ich sytuację materialną. Przenieśli się z kibucu do miejscowości, która nazywa się Kfar Vitkin.

Sara była dwa lata starsza od Rywy, urodziła się w 1904 roku. Kształciła się w kierunku pedagogicznym. Potem pracowała jako wychowawczyni w sierocińcu w Kobryniu, pod Bydgoszczą, a potem gdzieś w okolicach Łodzi. Do Palestyny pojechała trochę później – po koniec lat 20. XX wieku. Sara, podobnie jak Rywa, wyszła za mąż już po przyjeździe do Palestyny. Jej mąż też miał na imię Josif. Josif Szifeldrin pochodził z Niemiec. Mieszkali w kibucu Kwucat Schiller obok Rechowot. Sara spędziła tam 70 lat. W kibucu pracowała jako wychowawczyni zajmując się dziećmi. Powodziło im się zupełnie dobrze - mieli swój dom otoczony kwiatami. W tym kibucu na początku wszyscy zajmowali się rolnictwem, a potem otworzyli fabrykę gumy, która dosyć dobrze prosperowała. Produkowali również na eksport, wysyłali swoje produkty nawet do krajów arabskich, ale oczywiście bez oznaczenia miejsca pochodzenia produktu.

Jeżeli chodzi o moje siostry, to muszę powiedzieć, że każda z nich różniła się od siebie, miała inny charakter. Jak już mówiłem Margolia miała najlepszy charakter. Była bardzo oddana. Rywa, która była najmłodsza, musiała wiele przejść, zanim do czegoś doszła. Kiedy wyjechała do Palestyny musiała nauczyć się żyć w skrajnie ciężkich warunkach. To odbiło się na jej charakterze. Była zahartowana. Uważała, że nie można zbyt wiele oczekiwać od życia. Sara, która wyjechała kilka lat później, nie miała już takich problemów jak Rywa. Od razu zamieszkała w kibucu, miała swój dom. I to też wpłynęło na jej usposobienie - nie miała w sobie tej surowości, która cechowała Rywę.

Mojesz urodził się około 1909 roku. Uczęszczał do gimnazjum żydowskiego. Pewnego dnia, na wiosnę, kiedy grał z kolegami w piłkę nadepnął na gwóźdź. Został zawieziony do Lublina do szpitala, ale zmarł od gangreny. Miał wtedy 15 lat. Dziś wystarczyłby jeden zastrzyk, ale wtedy nie było jeszcze penicyliny. Rocznicą śmierci Mojjesza wypadała w okolicach święta Pesach. Pamiętam, że każdego roku, kiedy ojciec czytał opowieść o tym jak Bóg ukarał faraona śmiercią wszystkich pierworodnych w Egipcie, zawsze bardzo płakał. Ta historia przypominała mu śmierć jego pierworodnego syna, którą bardzo ciężko przeżył.

Dzieciństwo

Urodziłem się 8 lutego 1915 roku w święto Purim. Imię dostałem po dziadku, który tak jak bohater historii purimowej [Megillat Ester] miał na imię Mordechaj. Byłem najmłodszy w rodzinie. Właściwie można powiedzieć, że jestem dzieckiem wojny [I wojny światowej]. Pamiętam, jak podczas bombardowań mama brała mnie na ręce i schodziliśmy wszyscy do piwnicy. Kiedy trochę podrosłem i zacząłem bawić się na ulicy, widziałem jak do miasta weszli żołnierze Gen. Hallera – znieważali Żydów, zatrzymywali ich i obcinali im brody, śpiewali „Żydku, dawaj brode”, itp. Później kiedy przez Zamość przechodzili rosyjscy jeńcy wojenni, to my dzieci biegaliśmy za nimi. Oni robili różne zabawki, ptaszki z drewna i tego typu rzeczy. Oddawali je nam za bułkę.

Nigdy nie chodziłem do chederu, żeby „klepać” abecadło. Czasami z ciekawości zaglądałem tam przez okno. Nauczyciel miał swojego pomocnika. Do chederu chodzili takie małe trzy- czteroletnie dzieci, więc trzeba je było odprowadzać i przyprowadzać do szkoły. One tylko się uczyły „klepać modlitwy”, ale nic z nich nie rozumiały [od redakcji: rodzice Pana Weinryba nie byli zadowoleni z tradycyjnej formy edukacji w chederze, dlatego posłali syna do nowoczesnej szkoły syjonistycznej]. Kiedy miałem 6 lat zacząłem się uczyć w żydowskiej szkole podstawowej „Kadima” - tej samej, w której otwarcie zaangażowany był między innymi mój ojciec. Mieliśmy tam język hebrajski, no i oczywiście polski oraz inne przedmioty. Byłem pierwszym rocznikiem, który ukończył tę szkołę. Potem chodziłem do gimnazjum państwowego.

Miałem też swojego nauczyciela od religii, który przychodził do domu i przygotowywał mnie do bar micwy. To jest oczywiście tradycja. Chłopiec kiedy kończy 13 lat staje się mężczyzną. Prowadzi się go do synagogi, jednak wcześniej uczy się on specjalnej modlitwy i tak dalej. On musi umieć coś odczytać, zrozumieć. Więc ze mną też tak było. Miałem nauczyciela, który przychodził do domu i uczył mnie tego wszystkiego. Moja bar micwa wypadła na wiosnę. Pamiętam ten dzień, wszystko odbywało się w wielkiej synagodze. Gdy wyczytano moje imię miałem podejść i przeczytać fragment Tory. Serce trochę mocniej biło mi ze strachu czy wszystko dobrze pójdzie, no ale jakoś się udało. Potem przy modlitwie zakładało się tefilin – na rękę jedno pudełko a na czoło drugie - gdzie wewnątrz napisane jest dziesięcioro przykazań. Zakładałem tefilin może rok, może dwa, potem coraz rzadziej, rzadziej aż w końcu w ogóle przestałem. Tak samo jak moi koledzy.

Jako prezent na bar micwę dostałem trochę pieniędzy, za które mogłem sobie coś kupić. Nie mogłem się jednak zdecydować: rower czy radio? Myślałem nad tym i myślałem, a pieniądze powoli się rozchodziły na drobnostki i w końcu ani radia ani roweru sobie nie kupiłem. A jeżeli już o rowerach mowa to trzeba powiedzieć, że mieliśmy w Zamościu dwie żydowskie wypożyczalnie. Zamczerek wypożyczał takie stare graty, u niego było dużo taniej i tam wypożyczali wszyscy, którzy dopiero zaczynali się uczyć jeździć. A drugi – Pekler - wypożyczał drożej, ale rowery miał porządne.

W 1930 roku pojechałem do Lublina, do rodziny, żeby zobaczyć otwarcie jesziwy „Chachmej Lublin” [od redakcji: jesziwa została założona z inicjatywy Agudat Izrael; jego rektorem i założycielem był M. Szapiro. Była to jedna z największych akademii talmudycznych w tamtym czasie. Jej otwarcie w dniu 24 czerwca 1925 roku było bardzo uroczyste i podniosłe. Z wielu miast dowożono ludzi specjalnie na to wydarzenie]. Miałem wtedy 15 lat. Rodzice nie mogli jechać razem ze mną. Wsadzili mnie więc do samochodu, który kursował na trasie Zamość – Lublin, a wujek odebrał mnie na miejscu. Pamiętam, że wtedy pierwszy raz w życiu jechałem samochodem. To była ciężarówka przystosowana do przewozu ludzi – z tyłu na przyczepie wzdłuż boków ustawione były ławki. Otwarcie jesziwy było bardzo uroczyste. Był ogromny tłum ludzi, więc w sumie niewiele zobaczyłem. Zresztą to było tak dawno temu, że nie pamiętam już żadnych szczegółów.

Kiedy wyjeżdżaliśmy na wakacje zawsze któreś z rodziców musiało zostać w domu. Trzeba było pilnować sklepu – wtedy zabiegało się o każdego klienta. Jechaliśmy zwykle do Krasnobrodu. To jest mniej więcej 20 kilometrów od Zamościa. Tam były wspaniałe lasy. Nie tak jak teraz, ale piękne bory. Drzewa były tak stare i gęste, że zatrzymywały światło. Wynajmowaliśmy od lokalnych chłopów pokój z kuchnią. W Krasnobrodzie były też pensjonaty, ale tam mieszkali ludzie, którzy przyjeżdżali na dzień, dwa. Ojciec budził mnie rano i zabierał na dalekie spacery do lasu. Zbieraliśmy grzyby, poziomki, jeżyny. Pamiętam też, że przyglądałem się jak chłopcy robili gliniane

naczynia. One były ładnie malowane, poza tym dobrze trzymały chłód. Mnie najbardziej interesowały jednak gwizdki z gliny. Wszystko to chłopci sprzedawali potem za grosze na jarmarku.

W Zamościu przed wojną było około 25 000 ludzi, w tym około 15 000 Żydów. Podobnie jak moja rodzina, większość Żydów zamojskich była sefardyjczykami. Do naszych czasów nie przetrwała jednak ich obyczajowość ani język. Ludzie obchodzili te same święta i ubierali się tak samo jak aszkenazyjczycy. Wszyscy mówili w jidysz. Oczywiście jidysz mówiony w Zamościu różnił się trochę od tego z Lublina czy Wilna. Miał swoje niuanse. Można więc powiedzieć, że z całej kultury sefardyjskiej nic w Zamościu nie pozostało, zachowała się jedynie pamięć o pochodzeniu naszych przodków.

W mieście była jedna wielka synagoga a poza tym były liczne sztable. Synagoga miała wystrój tradycyjny, z bimą na środku oraz zdobioną Arką [Aron ha-kodesz]. Wokół drzwi do Arki znajdowały się ornamenty. Były tam wyrzeźbione dwa lwy i dwa jelenie a wokół nich napis „Gibor keari, rac kecwi” [hebr. „silny jak lew, szybki jak jelen”]. Mój ojciec chodził do sztabla, do synagogi rzadko. Ja chodziłem razem z nim kiedy byłem mały i jeszcze przez jakiś czas po bar micwie. Mama nie chodziła do sztabla – w ogóle kobiety nie przychodziły się modlić do sztabli, tam spotykali się mężczyźni. W ważniejsze święta i czasami w piątki chodziła do synagogi, w której było specjalnie wydzielone miejsce dla kobiet. Do synagogi przychodziliśmy też ze szkołą, na przykład kiedy odprawiano nabożeństwa za prezydenta Rzeczypospolitej.

Wśród Żydów zamojskich poza kupcami byli także rzemieślnicy różnego rodzaju. Byli stolarze, blacharze, kowale, cieśle, malarze, kamasznicy, szewcy. Byli też biedni nosiwodzie. (tak, bo nie było wtedy bieżącej wody w domach). Więc oni nosili tą wodę ze studni, która stała na rynku; najbardziej cieszyli się, jeśli ktoś robił pranie, bo wtedy potrzebowano więcej wody i zarobek był większy. Pamiętam jeszcze, że w zamożniejszych domach były służące – też Żydówki. To były młode dziewczyny z okolicznych miasteczek. Zbierały zarobione pieniądze na posag. Zdarzało się i tak, że któreś nie udało się wyjść za mąż; wtedy z zaoszczędzonych pieniędzy fundowały Torę dla synagogi.

W Zamościu mieszkali ludzie o różnych poglądach: byli i syjoniści i bundowcy. Byli także komuniści. Ludzie zamożni i inteligencja byli najczęściej syjonistami. Komuniści mieli wielu zwolenników wśród ludzi biednych. To wynikało z tego, że oni mieli sprawną propagandę [egalitarna idea komunizmu przyciągała ludzi ubogich w ogóle, nie tylko ze względu na propagandę]. Komuniści mówili o tym, że wszyscy będą mieli pracę i będą równi między sobą, nie obrażali Żydów.

Oczywiście w Zamościu byli również chasydzy. Pamiętam, jak zaprosili do siebie cadyka, żeby zamieszkał z nimi. Najpierw była długa wymiana korespondencji. Zdaje się, że on pochodził z Góry Kalwarii. Cadyk przyjechał do Zamościa pociągiem. Na stacji czekały na niego tłumy. Byli tam nie tylko chasydzy, lecz również inni Żydzi a nawet Polacy. Ja pobiegłem tam razem z grupą moich kolegów. To było wielkie wydarzenie w Zamościu. Wielu ludzi przyszło z ciekawości – zobaczyć, jak to będzie wyglądało.

Chasydzy wynajęli wszystkie dorożki w mieście. W pierwszej, najładniejszej, zaprzężonej w białe konie posadzili cadyka. Zawieźli go do domu przy ulicy Lubelskie Przedmieście, który uprzednio przygotowali dla niego. Wzdłuż całej drogi były rozciągnięte kolorowe lampki. Mniej więcej 100 metrów przed domem chasydzy wyprzęgli konie i sami pociągnęli dorożkę. Potem zjeżdżali się do

niego w piątki i soboty po błogosławieństwo. Pamiętam to, bo często chodziliśmy tam i zaglądaliśmy przez szybę. Widziałem, jak cadyk brał chałę błogosławił ją i potem drobił na kawałki i jego wyznawcy brali to, bo to było takie poświęcone. Widziałem, jak tańczyli i cieszyli się – tak modlili się do Pana Boga.

Niecodzienne wydarzenia, jak przyjazd cadyka, były atrakcją dla mieszkańców takiego miasta jak nasze. Ludzie chętnie przychodzili, żeby popatrzeć na niezwykle rzeczy. Kiedyś rozeszła się wiadomość, że w pobliskiej wsi jest lunatyk. Ja wtedy tam nie poszedłem, bo byłem za mały, ale mnóstwo ludzi się zebrało żeby go zobaczyć. Była letnia, księżycowa noc, wszyscy stali na ulicy i uciszali się wzajemnie, żeby tylko go nie zbudzić kiedy z wyciągniętymi rękami chodził po dachach domów.

Mieszkaliśmy przy samym rynku. Nasza rodzina była średniozamożna - nie można powiedzieć, że byliśmy bogaczami, ale nie można powiedzieć także, że cierpieliśmy głód. Mieszkaliśmy w kamienicy, której okna naszego mieszkania wychodziły na rynek. Cały rynek w Zamościu otoczony jest podcieniami, więc w czasie deszczu można go obejść dookoła bez parasola. Na parterze naszego domu mieściła się żydowska piekarnia. W kuchni stał piec chlebowy, w którym piekło się chałę i różne ciasta: z serem, z makiem, z miodem, pierniki, no i oczywiście zwykły chleb. Pamiętam, że był taki okres, kiedy trudno było dostać mąkę, ale nam posyłał ją stryj, który w Grabowcu miał młyny.

Mieliśmy też służącą, młodą dziewczynę, Żydówkę. Pochodziła z biednej rodziny z jakiegoś małego miasteczka. Ona gotowała i sprzątała. Pracowała i jednocześnie uczyła się jak prowadzić dom, bo u siebie w miasteczku to nawet nie miałyby z czego gotować. Chodziła też do rabina pytać, czy na przykład dana kura jest koszer, czy nie; mama nie miała na to czasu.

W pokoju stał piec kaflowy. W zimowe wieczory graliśmy w loteryjkę. To była taka gra: rzucaliśmy kostką i zależnie od wyniku kładliśmy numery na specjalnych kartonach. Grało się też w domino i w szachy. Ojciec grywał u znajomych w karty. Mieszkanie oświetlane było przy pomocy lamp naftowych. Później w latach 20. XX wieku pojawiła się elektryczność. To było w 1926 lub 1927 roku. Pamiętam ten dzień, w którym u nas pojawiło się światło elektryczne – jak nagle wszystko się rozjaśniło!

Kiedy zbliżał się piątkowy wieczór po ulicach chodzili szamesi z kołatkami w rękę i krzyczeli: „Zamykać! Zamykać te sklepy, szabas nadchodzi!”. Mężczyźni czyścili sobie buty, dziewczyny myły włosy. Nie było wtedy szamponu, więc brały sobie jakąś naftę, a często myły głowy czymś w rodzaju barszczu. To był jakiś wywar z buraków, ale nie wiem, z czego dokładnie się to robiło. W każdym razie mówiło się na to „barszcz”.

W szabas wszystko musiało wyglądać ładnie. Wieczorem mężczyźni udawali się na modlitwę a w domu gospodyni modliła się i zapalała świece. Potem następował posiłek: obowiązkowo kołacz, chałka i ryba faszzerowana. Te kołacze były robione z drożdżowego ciasta. Splatało się je z 12 wałeczków, które symbolizowały 12 plemion Izraela. Chała to była taka wysoka bułka. Potem leżały obok siebie – kołacz i chała. A tego smaku ryby faszzerowanej to już się dzisiaj nie spotyka. Nawet w Izraelu robią jakieś takie rybne kulki, ale to już nie jest to samo. U nas zazwyczaj używano do tego dania karpia. Ci, których nie stać było na karpia przyrządzali gefilte fysz z małych rybek. Karpia kroilo się na dzwonka, wycinało mięso z wewnątrz, które następnie miało się z bułką, z jajkiem,

pieprzem i solą do smaku a następnie takim farszem wypełniało się z powrotem rybę. Nie jestem w stanie dokładnie powiedzieć jak się przyrządzało tą rybę, bo ja nigdy tego nie robiłem - ja tylko ją jadłem.

Przed Paschą organizowało się pomoc dla biednych. Zgłaszali się ochotnicy, którzy dostawali mąkę, wodę i zagniatali ciasto na macę. Wtedy wypiekało się mace okrągłe – nie tak jak dzisiaj prostokątne. Potem rozdawano je ubogim.

Pascha była jednym z najbardziej uroczystych świąt. Cała rodzina zbierała się razem przy stole, na którym były piękne naczynia i wyszywane kolorowymi nićmi „przegródki” na macę – każda dla kogoś innego: jedna dla Izraelitów, jedna dla Lewitów, a jedna dla Kapłanów [od redakcji: na talerzu sederowym znajdowały się trzy kawałki macy, które czasem umieszczane były w specjalnie przygotowanej na tą okazję torbie z trzema „przegródkami”]. Byłem najmłodszy w rodzinie, więc to ja zadawałem cztery pytania, a ojciec – jako głowa rodziny -odpowiadał. Były różne ciasta i wino. Mówiło się też: „Kto pragnie przyjść i być gościem naszym niech wejdzie, niech przyjdzie”. Wielu gości przychodziło do nas na święto. Ja sam, później kiedy byłem w wojsku, również byłem zapraszany na Paschę przez różne rodziny. Zawsze przygotowany był kielich dla proroka Eliasza. Otwierało się drzwi i czekało aż przyjdzie. Pytaliśmy rodziców, dlaczego nie widać, żeby w kielichu dla proroka ubywało wino. – Bo on upił tylko troszeczkę – odpowiadali.

Obchodziło się także i pozostałe święta: Jom Kipur, Rosz ha-Szana i inne. Na Purim odczytywało się w synagodze Megilę [Megillat Ester]. My dzieci mieliśmy specjalne grzechotki i na słowo „Haman” krzyczeliśmy i robiliśmy wielki hałas. W końcu dorośli zaczęli krzyczeć na nas, żebyśmy już przestali, a my nie chcieliśmy i taka to była zabawa. Były też przedstawienia purimowe. Król Achaszwer siedział na tronie w papierowej koronie na głowie, przychodził do niego minister i coś mu tam meldował. Potem pojawiała się piękna Ester i mówiła: „Dlaczego chcesz wymordować mój lud?”. Król zmieniał zdanie, a na koniec była taka scena, że Haman już leży w ziemi, a na jego miejsce jedzie Mordechaj na koniu. W Purim przyjęło się jeść takie trójkątne ciastka z makiem; a trójkątne dlatego, że miały przypominać czapkę, którą nosił Haman. Te ciastka nazywały się humentaszn.

Świętowaliśmy też Chanukę na pamiątkę wydarzenia, które miało miejsce w Jerozolimie. Podczas oblężenia miasta obawiano się, że zabraknie oliwy do podtrzymania w świątyni wiecznego płomienia, ale jednak jakoś jej wystarczyło do końca. My też mieliśmy w domu taką menorę na oliwę [od redakcji: rozmówca najprawdopodobniej miał na myśli hanukiję].

O stosunkach polsko-żydowskich należy powiedzieć, że układały się różnie. To bardzo złożony problem. Na przykład Jan Zamojski sam zaprosił Ormian i Żydów do Zamościa [sprowadził ich w XVI wieku]. Nie było to oczywiście bezinteresowne działanie – dzięki nowym przybyszom w mieście rozwinął się przemysł i handel. Żydzi pożyczali królom pieniądze. Były też sławne rodziny, jak na przykład Kronenbergowie, którzy stworzyli kolej warszawsko-moskiewską. Pod koniec XIX wieku w Rosji pojawiły się insynuacje, jakoby Żydzi wykorzystują krew do wyrobu macy i tak dalej [oskarżenie o mordy rytualne]. W latach międzywojennych z jednej strony mieliśmy endeków, z drugiej natomiast trzeba pamiętać, że Polska miała problemy gospodarcze. Żydzi doświadczyli wówczas wielu trudów, w szczególności ci religijni, co wiązało się na przykład z kwestią uboju rytualnego. Niby chodziło o ochronę zwierząt.

Trzeba także powiedzieć, że w całej tej sprawie nie ma winy kościoła katolickiego. Znamy historię: inkwizycja – palenie Żydów i czarownic... Kościół nie starał się dążyć do pojednania. Zresztą może było mu to potrzebne, żeby utrzymać wiarę. Mówiono, że Żydzi zamordowali Jezusa i muszą za to odpokutować. Dopiero teraz papież zmienił podejście do Żydów i szuka pojednania, ale i tak są to tylko powierzchowne działania. Z drugiej strony trzeba dodać, że Żydzi zawsze trzymali się niejako w odosobnieniu, tworzyli własne getta [od redakcji: w zasadzie to w czasach średniowiecza Żydzi zmuszani byli przez ludność nie-żydowską do przeniesienia się do gett – specjalnie wydzielonych dla Żydów dzielnic, często otoczonych murami. Z drugiej strony należy dodać, że pod wieloma względami taki rodzaj „osadnictwa” sprzyjał żydowskim interesom]. Dopiero przed wojną zaczęło się to zmieniać. Mieliśmy sławnych pisarzy żydowskiego pochodzenia tworzących po polsku – Tuwima, Brzechwę, Leśmiana. Młodzi ludzie uważali, że sytuacja musi ulec zmianie, że trzeba dążyć do wspólnego zbliżenia.

Jeżeli o mnie chodzi to miałem dwóch polskich kolegów. Oni byli bardzo mili, spędzaliśmy razem dużo czasu. Wspólnie chodziliśmy nad rzekę i na rowery. Pamiętam, że do szkoły chodzili także dzieci okolicznych właścicieli ziemskich. Oni uważali się za lepszych od innych. Jeden z nich podjeżdżał przed szkołę powozem, a stangret, mimo że starszy od niego, schodził z kozła, zdejmował czapkę i mu się kłaniał. Pamiętam, jak pewnego razu na lekcji rysunków jeden z tamtych chłopaków zaczął się skarżyć: „Panie profesorze, bo od niego śmierdzi czosnkiem!”. Nauczyciel nie skarcił go, tylko zwrócił się do wskazanego żydowskiego chłopca mówiąc: „Słuchaj, następnym razem postaraj się nie jeść czosnku przed przyjściem do szkoły”. Nic nie pomagało kiedy tamten mówił, że przecież nie jadł żadnego czosnku. Można więc powiedzieć, że różnie to bywało. Ja miałem grono kolegów, znajomych zarówno wśród Żydów jak i Polaków. Byliśmy dobrymi uczniami, trzymaliśmy się razem. Z drugiej jednak strony w szkole panował antysemityzm.

Moi rodzice również utrzymywali kontakty z Polakami. W naszym sklepie głównie kupowali Polacy, stałe klientki często przychodziły i opowiadały o swoich sprawach; do sklepu zachodziła też właścicielka naszej kamienicy – pani Namysłowska. Przychodziła opowiadać, że musi córkę wydać za mąż, ale że to duże wydatki i tak dalej.

Kiedy skończyłem gimnazjum moja siostra Margolia namówiła mnie, żebym przyjechał uczyć się do Warszawy. Mieszkała tam już kilka lat, pracowała jako nauczycielka, więc mogła mnie utrzymywać. Przyjechałem do Warszawy w 1933 roku i zamieszkałem u siostry. Zacząłem się uczyć w Państwowej Szkole Budownictwa. Po skończeniu tej szkoły można było od razu wstąpić na drugi rok Politechniki Warszawskiej.

W roku 1937 zostałem powołany do wojska. Wielu Żydów unikało wtedy służby, ale ja poszedłem. Mój ojciec też sobie tego życzył. Mówił, że nauczę się walczyć i że to może mi się przydać później w Palestynie. Służyłem we Włodzimierz Wołyńskim, w 23 pułku piechoty. Potem przeniesiono mnie do Pogórza pod Baranowiczami. Tam budowano poligon, a ja miałem wykształcenie budowlane. Stawialiśmy drewniane baraki dla żołnierzy i pomieszczenia gospodarcze. W tej okolicy było bardzo dużo wilków. Pamiętam, jak pewnego razu nasz kucharz poszedł do miasta po mięso. Tereny były bagniste, trzeba było chodzić po specjalnych drewnianych kładkach. Kiedy wracał usłyszał, że wilki się zbliżają – kucharz ocalał, ale nasze mięso przepadło.

Po wyjściu z wojska w 1938 roku wróciłem do Warszawy. Mieszkałem wtedy w wynajętym pokoju. Chciałem zacząć pracować, żeby nie być już na utrzymaniu siostry ani rodziców. Miałem też plany

związane z dalszą nauką na Politechnice. Zacząłem pracować w dwóch firmach budowlanych, jedną z nich prowadził Halber a drugą Krajterkraft. Obydwie firmy były żydowskie. Dostawaliśmy zlecenia na projekty kamienic czynszowych. Ja przygotowywałem te projekty, wprowadzałem poprawki. Od czasu do czasu wykonywałem także zlecenia od architekta Goldszmita. Tak pracowałem aż do wojny.

W tym czasie obracałem się w dość mocno lewicującym środowisku. Byliśmy rozczarowani sytuacją w Polsce. Ja na przykład mogłem pracować tylko w żydowskich firmach. Na uniwersytetach wprowadzane były ograniczenia. Byliśmy naiwni. Wydawało nam się, że wystarczy zmienić ustrój, żeby zmienić tą sytuację. Wszystko to wiązało się jeszcze z buntem przeciwko religii. Ja nie należałem do żadnej partii. Najczęściej moi znajomi należeli do Organizacji Młodzieży Socjalistycznej „Życie” albo do Komunistycznego Związku Młodzieży.

Lata wojny

Kiedy wybuchła wojna miałem bilet mobilizacyjny wyznaczony na siódmy dzień. Jednak zanim zdążyłem się zgłosić, wojsko już zostało rozbite. Nie było jednostek, do których moglibyśmy się dostać. Skierowano nas na wschód. Szedłem wraz z grupą kolegów z wojska w tłumie ludzi, którzy uciekali przed Niemcami. Ludzie w pośpiechu zabierali ze sobą co im wpadło w ręce. Potem widząc, że nie mają siły nieść tego wszystkiego, porzucali różne rzeczy jak ubrania czy buty – pełno tego leżało w rowach.

Kiedy przekroczyliśmy rzekę Bug zaczęliśmy spotykać Ukraińców – uzbrojonych, na koniach. Zatrzymywali nas, chociaż byliśmy w cywilnych ubraniach. W końcu trafiliśmy do Kamienia Koszyrskiego, a stamtąd po kilku dniach wyruszyłem do Kowla. Liczyłem na to, że spotkam tam rodziców i siostrę, bo w Kowlu mieszkała siostra mojego ojca, ciotka Lea. Cała ta droga zajęła mi ponad tydzień – miałem do pokonania kilkaset kilometrów [w rzeczywistości Kamień Koszyrski znajduje się zaledwie 100 km od Kowla]. Było nas w sumie kilku, spaliśmy gdzie się dało. W wioskach było dużo opuszczonych budynków, bo ludzie bojąc się uciekali z domów. Czasem udało nam się złapać jakąś zabłąkaną kurę, znaleźć garnek i rozpalić ogień. Chcieliśmy tę kurę ugotować, ale byliśmy tak głodni, że najczęściej zjadaliśmy ją od razu zanim kura zdążyła się ugotować.

Moje przewidywania spełniły się i ku mojej radości zastałem najbliższych w Kowlu. Okazało się, że kiedy wybuchła wojna rodzice kupili dosyć duży wóz, załadowali na niego część towaru ze sklepu i oczywiście własne bagaże i pojechali na wschód, do ciotki Lei. Margolia przyjechała razem z nimi, ponieważ w dniu wybuchu wojny była jeszcze w Zamościu, gdzie spędzała swoje wakacje. Potem w Kowlu żyli z tego, że wyprzedawali towar ze sklepu. Udało im się nawet wynająć mieszkanie.

Jeżeli o mnie chodzi to zaraz po przyjeździe do Kowla zobaczyłem ogłoszenie, że poszukują chętnych do robót budowlanych w garnizonie, który Rosjanie przejęli po Polakach. Zgłosiłem się i dostałem tam pracę. Odpowiedzialny byłem za prace remontowe. Jako osoba zatrudniona w radzieckim garnizonie dostałem od urzędu miasta przydział na kawalerkę. Zakwaterowali mnie w prywatnej kamienicy. Pamiętam, że płaciłem właścicielowi jakiś czynsz. Dzięki pracy w tym garnizonie mogłem nawet trochę pomagać rodzicom, bo stamtąd zawsze udawało się wynieść trochę węgla czy drewna na opał.

Gdy Niemcy zbliżali się do Kowla, na stacje zaczęły przyjeżdżać pociągi ewakuacyjne. Ludzie tłumnie wyruszali na wschód. Udałem się do moich rodziców i Margolii i próbowałem ich przekonać, że powinniśmy uciekać wszyscy razem, lecz oni nie chcieli tak po prostu porzucić całego swojego dobytku. Nie mieli pojęcia, co może się wydarzyć. Rodzice byli starsi i Margolia chciała zostać razem nimi. Przekonali mnie, że nic się nie stanie, jeśli pakowanie potrwa kilka dni. Byłem młodszy. Przeczuwałem, że coś się wydarzy. Postanowiłem wyruszyć wcześniej, wierzyłem jednak, że zdążą i wkrótce się spotkamy. Niestety nie udało im się.

Nigdy nie dowiedziałem się, co dokładnie się z nimi stało. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto opowiedziałby mi, jaki los ich spotkał. Najprawdopodobniej byli w getcie w Kowlu, gdzie zostali zastrzeleni oraz pochowani w masowym grobie w lasach na przedmieściach Kowla. Po wojnie próbowałem znaleźć jakieś informacje o nich. Liczyłem na to, że może skontaktują się ze mną. Ale nic takiego się nie stało. Wróciłem do Kowla dwa lata temu, mając nadzieję na odnalezienie jakiejś wskazówki. Odwiedziłem masowy grób – wszystko, co tam zastałem to niewielki pomnik. Nie znalazłem żadnych informacji. Na żydowskim cmentarzu w Warszawie, na ulicy Okopowej, jest cała ściana upamiętniająca ludzi, którzy zginęli podczas wojny. Umieściłem tam tablicę pamiątkową z imionami osób z mojej rodziny.

W każdym razie trafiłem do pociągu ewakuacyjnego. Jechaliśmy na południowy wschód, wkrótce zaczęły się naloty niemieckie. Zostałem ranny, kiedy bombardowali pociąg. Trafiłem do jakiegoś wojskowego samochodu, do jakiegoś szpitala. Ponieważ nikt nie miał czasu się mną zająć, w ranę wdała się gangrena i w końcu amputowali mi część ręki. Potem wyruszyłem w dalszą drogę, w nieznaną; znowu jechały pociągi. Dotarłem w ten sposób do Władykaukazu. Piękne miejsce u stóp gór. Prowadziła tam prosta droga, na horyzoncie której widoczne były ogromne góry, ze szczytami spowitymi we mgle.

We Władykaukazie zgłosiłem się do magistratu, żeby dali mi pracę. Przyjechałem bez niczego - nie miałem co jeść ani gdzie mieszkać. Praca dała mi szansę na przydział mieszkania, racji żywnościowych, no i jakieś pieniądze. Zostałem zatrudniony w Dyrekcji Kolei. Znowu nadzorowałem prace budowlane. Często byłem wysyłany z pracy na delegacje; byłem na przykład w Groznie w Czeczeni, w Baku w Azerbejdżanie. Wiele się wtedy naoglądałem. Pamiętam różne sceny z tamtych miejsc – mużulmanina, który zrobił awanturę na targu, bo sprzedawca położył mu mięso baranie na tej samej szali, na której przed chwilą ważył wieprzowinę. Pamiętam też, że na targu sprzedawali niedźwiedzie łapy, bo tam w górach było dużo niedźwiedzi. Albo jak kiedyś przywoziłem z delegacji olbrzymiego arbuza. Był tak wielki, że ledwie mogłem go utrzymać, no i oczywiście ten arbuz rozbił się w ostatniej chwili, kiedy wchodziłem do domu.

Miałem tam dwóch kolegów, jeden z nich – Latyszew był Rosjaninem, a drugi – Zinenko Ukraińcem. Kiedy zorientowali się, że na nich nie doniosę, zaczęli mi opowiadać o tym, co dzieje się w Związku Radzieckim, o tym, co Stalin robi z ludźmi [podczas tak zwanego Wielkiego Terroru]. Zarabiałem marnie, 350 rubli miesięcznie – tyle kosztował kilogram mięsa. Była też stołówka, w której podawali coś w rodzaju kaszy, którą polewano syntetycznym olejem. Codziennie serwowali to samo. W tym okresie bardzo schudłem, często chodziłem głodny.

Front się zbliżał i Niemcy podeszli pod Rostów nad Donem. Wtedy dyrekcja zarządziła ewakuację wszystkich pracowników razem z rodzinami. Wsiedliśmy do pociągu i rozpoczęliśmy podróż donikąd, która trwała następne osiem miesięcy. Kierowaliśmy się na południe. Czasem pociąg

stawał na kilka godzin, a potem ruszał dalej. Wychodziłem wtedy kupić coś do jedzenia, popatrzeć na morze. Stać mnie jeszcze było, żeby kupić u miejscowych coś pożywne do jedzenia. Kupowałem też chleb, który wcale nie przypominał chleba – to była taka papka z ziemniaków. Nawet próbowałem to dopiekać, ale w dalszym ciągu nie smakowało to jak chleb. Pewnej nocy położyłem się spać na górnym łóżku [w przedziale sypialnianym] bo tam było lepsze powietrze. W nocy zaczęło się bombardowanie, obudziłem się i myśląc, że jestem na dole zsunąłem się z łóżka. To był dosyć poważny upadek.

Dyrekcja Kolei starała się cały czas panować nad swoim obszarem. Z tego pociągu utrzymywaliśmy łączność z całym rejonem – kierowaliśmy pociągi towarowe na front i tak dalej. W końcu Niemcy wycofali się i wróciliśmy do Władykaukazu.

W 1943 roku moi przyjaciele z Warszawy dowiedzieli się gdzie jestem i przysłali mi list, zapraszając mnie do Baszkirii, gdzie wówczas przebywali. Tam było sporo Polaków [w zasadzie polskich Żydów], zostało powołane nawet Towarzystwo Patriotów Polskich co dawało jakąś szansę, że będzie można wrócić; postarałem się więc, żeby pozwolono mi tam wyjechać. Musiałem w tym celu trochę nakłamać w dokumentach. Napisałem, że przyjaciele są moją rodziną więc pomogą mi się utrzymać w Baszkirii, gdzie będę miał też pracę. Z dyrektorem Kolei byłem w dobrych układach, więc on też wydał mi pozwolenie na wyjazd. Było w tym wszystkim trochę ryzyka, bo nad całą procedurą czuwało NKWD, ale udało się. Znowu jechałem pociągami towarowymi, tym razem na Ural.

Towarzystwo Patriotów Polskich w przeważającej części składało się z Żydów. W Baszkirii spotkałem inżyniera Słobodkina, architekta z Warszawy, oraz innych znajomych. Zostałem kierownikiem produkcji w warsztatach wytwórczych Towarzystwa Patriotów Polskich. Szyliśmy ubrania oraz robiliśmy buty. Przez jakiś czas mieszkalem u jednej z rodzin, potem miałem własny pokój. Tam był bardzo ostry klimat. Nosiliśmy filcowe buty. Czasem nadchodził buran, burza śnieżna, podczas której nie można było wyjść z domu, bo można było zamarznąć – coś jak ściana lodu i śniegu leciała na człowieka.

Przez cały ten czas, odkąd wyjechałem z Kowla, nie miałem żadnych informacji o tym, co się stało z moją rodziną. Nie wiedziałem też co się dzieje na zachodzie. Korespondencja zza granicy nie dochodziła, nie spotkałem też nikogo, kto by mi przekazał jakieś wiadomości. Dopiero pod koniec 1944 roku można było wysyłać listy. Napisałem więc do sióstr w Izraelu, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Liczyłem na to, że i rodzice do nich napisali. Od sióstr dostałem jednak tylko paczkę pełną mydła. To był dobry pomysł, bo sprzedałem to mydło i dzięki temu miałem na jakiś czas pieniądze. Niestety nadal jednak nie miałem żadnych wiadomości.

Pod koniec wojny zaczęły dochodzić do nas wieści z Polski. Niektórzy wyjeżdżali. Kiedy wracali, pytaliśmy ich – „No jak tam jest z chlebem, jaki jest przydział?”. Mówili, że nie ma przydziałów, że towary leżą w sklepie na półkach i można brać, ile kto chce, że nawet ciastka tam są. Ale my już na tyle przyzwyczailiśmy się do tamtej rzeczywistości, że nie chcieliśmy im wierzyć, nie mogliśmy sobie tego wyobrazić. Wyjechaliśmy stamtąd jesienią 1945 roku. Po paru tygodniach spędzonych w pociągach towarowych przyjechałem w końcu do Lublina.

Lata powojenne

W Lublinie nie spotkałem nikogo z mojej rodziny. Później dowiedziałem się, że przeżył Awigdor (syn wujka) i jego dwie siostry. Zaraz po wojnie wyjechali do Izraela. Potem przeprowadzili się do Kanady, skąd kuzynki wyjechały do Stanów Zjednoczonych, do Bostonu. Jakiś czas temu urwał się z nimi kontakt.

Po powrocie ze Związku Radzieckiego zacząłem pracować w szkole żydowskiej przy Komitecie Żydowskim. Uczyłem języka polskiego. To była niewielka szkoła, było w niej tylko około 30 uczniów. Pamiętam, że mieliśmy takiego żydowskiego chłopca, którego matka odebrała z klasztoru. Problem polegał na tym, że chłopiec był bardzo mały, miał kilka lat, więc przywiązał się bardzo do tych sióstr w klasztorze, zapominając zupełnie o mamie. Wszyscy starliśmy się jakoś pocieszyć tę kobietę, ale ona ciągle płakała i tuliła swojego syna.

Pod koniec roku szkolnego w 1947 roku wyjechałem do Warszawy. Tutaj spotkałem swojego przyjaciela Weinerja, który przyjechał z Paryża, inżyniera Słobodkina, z którym byliśmy razem w Baszkirii i wielu innych. Pracowałem w Centralnym Komitecie Żydowskim na stanowisku technika budowlanego. Pierwszy dom, który odbudowałem znajdował się na Pradze [dzielnicy Warszawy]. To był żydowski dom, więc kiedy skończyliśmy prace zamieszkały w nim żydowskie rodziny. Później część lokatorów wyjechała z kraju a część wyprowadziła się. Odbudowałem także kamienicę przy ulicy Jagiellońskiej 28. To było również zlecenie CKŻP. W tej kamienicy na parterze znajdował się sklep, w którym sprzedawano koszerne mięso. Nie pamiętam, kiedy został zamknięty.

Na początku lat 50. XX wieku zostałem członkiem spółdzielni „Budometal”. W 1955 roku poszedłem na kurs inżynierski i uzyskałem dyplom na Politechnice Warszawskiej. W pracy wszyscy wiedzieli, że jestem Żydem. Zaczęły się sugestie, żebym zmienił imię. Wielu zmieniało nawet nazwiska, ale ja nie chciałem, więc przynajmniej zmieniłem to imię. Jeszcze przed wojną wołali na mnie Mieczysław, Mietek więc tak już zostało - imię Mordechaj wykreśliłem z dokumentów.

Nadal wykonywałem prace zlecane mi przez instytucje żydowskie, tyle że były one organizowane przez spółdzielnię. Tak było najłatwiej. Wielokrotnie remontowałem elewację synagogi Nożyków. To były zlecenia Gminy, fundusze na ten cel pochodziły z pomocy zagranicznej. O ile dobrze pamiętam - z Jointu. Zaraz po wojnie zbudowaliśmy też w tej synagodze wytwórnię macy. Urządziliśmy ją na babińcu, ustawiliśmy maszyny do mieszania ciasta i piece elektryczne i tam się piekło macę na Pesach. Wytwórnia macy funkcjonowała tam kilka lat. Potem zaczęli przysyłać nam macę z zagranicy. Wyremontowałem również budynek gminy żydowskiej na ulicy Twardej 6. W latach 50. XX wieku prowadziliśmy także na zlecenie Gminy prace porządkowe na cmentarzu żydowskim. W czasie wojny cmentarz ten został zdewastowany. Aleje były zasypane ziemią, pomniki przewracane. Uprzątnęliśmy więc główną alejkę. Odłamki macew wmurowaliśmy w specjalną ścianę. Kilka lat później dobudowaliśmy również przy wejściu pomieszczenia gospodarcze.

W latach 50. i 60. XX wieku było jeszcze wiele ludzi religijnych. Właściwie było trochę jak przed wojną - byli bundowcy i syjoniści. Była też spora grupa działaczy komunistycznych. Przez Joint przychodziła dosyć duża pomoc amerykańska. Były też żydowskie zakłady: „Solidarność”, gdzie uczono różnych zawodów, a Słobodkin - ten, z którym byłem w Baszkirii - prowadził ORT. Gdyby nie 1946 rok, pogrom w Kielcach, a potem Gomułka, który powiedział, że obywatele Polski nie mogą mieć dwóch ojczyzn, to pewnie tak dużo ludzi by nie wyjechało.

Na początku lat 50. XX wieku poznałem Izabelę, moją przyszłą żonę. Ona pracowała wówczas w związkach zawodowych, jako księgowa. Jej ojciec, Wacław Tłuchowski, walczył w Powstaniu Warszawskim i nigdy nie powrócił do domu. Ma nawet pomnik postawiony na cmentarzu na Powązkach. Izabela jest Polką, więc uczyła się w katolickiej szkole. Pobraliśmy się i w 1955 roku urodził nam się syn. Daliśmy mu na imię Eligiusz, ponieważ przypomina imię mojego ojca – Eliasza; czasy, w których się urodził nie sprzyjały nadawaniu typowo żydowskich imion.

Eligiusz ukończył z wyróżnieniem fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. Zrobił też doktorat i habilitację. Teraz pracuje na różnych uniwersytetach. Obecnie przebywa na Uniwersytecie w Yale. Jest tam członkiem zespołu badawczego zajmującego się problemami fizyki teoretycznej. Czym jest dla niego tradycja żydowska? Eligiusz utrzymuje kontakty ze swoją rodziną w Izraelu. W Stanach chodzi na spotkania żydowskie. Interesuje się tradycją żydowską. Jest agnostykiem.

Izabela pochodzi z katolickiej rodziny, ale do kościoła nie chodzi i mam wrażenie, że ma do tego wszystkiego negatywny stosunek. W każdym razie nie jest praktykująca. Oczywiście nigdy jej nie zabraniałem kultywować religii. Ja z kolei do synagogi zawsze chodzę w Jom Kipur, kiedy odmawiana jest modlitwa za zmarłych. A poza tym to do synagogi nie chodzę. W domu nie obchodzimy właściwie żadnych świąt. W te żydowskie chodzę na te uroczystości, które organizowane są przez głównie przez Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów.

Izrael? Żydzi od wieków marzyli, żeby powrócić do Izraela. Każdego roku podczas święta Paschy życzyli sobie: „Ba-szana ha-ba be-Jeruszalajim”. Przez setki lat nie było to możliwe – Turcja, Arabowie, protektorat brytyjski [Mandat Brytyjski]. Wychowałem się w syjonistycznej rodzinie; moi rodzice również pragnęli, aby powstało państwo żydowskie.

Wiele razy myślałem o przeprowadzeniu się do Izraela. Zawsze jednak były różne przeszkody, które mi to uniemożliwiały. Przed wojną najpierw chciałem skończyć szkołę, potem zostałem powołany do wojska. Później, kiedy pierwszy raz byłem w Izraelu, w 1956 roku, miałem już nawet zapewnioną pracę. Jednak tu, w Polsce, moja żona miała zobowiązania – musiała opiekować się swoją matką.

Pamiętam swój pierwszy pobyt w Izraelu. Miałem duże trudności z otrzymaniem pozwolenia na wyjazd, ale w końcu się udało. Kiedy nasz statek dopływał do portu w Hajfie na nabrzeżu stała już cała rodzina. Przyjechałem do domu Rywy i Josifa, którzy wówczas zajmowali się hodowlą kur. Nie mieli jeszcze nawet kuchni gazowej. Mój szwagier miał osiołka – zaprzęgał go do wozu i woził mnie, żebym mógł sobie popatrzeć na morze. Teraz, kiedy przyjeżdżamy z rodziną wszystko wygląda zupełnie inaczej. Ostatnio byłem w Izraelu w 1999 roku. Każde z nas miało osobne pokoje. W ciągu dnia kąpaliśmy się i opalaliśmy. Rano była kawa, herbatka i jeszcze mleko do tego oraz kakao. I dużo jarzyn, bo tam przez cały rok są jarzyny – nie tak jak u nas, tam jest wszystko.

Czy coś się zmieniło w Polsce po 1989 roku? No oczywiście, że się zmieniło. Teraz jest większa demokracja, wtedy byliśmy ciągle ograniczani. Jak pracowałem w tych różnych instytucjach to pamiętam jak na 1 maja trzymali nas w pochodach godzinami. Stało się i stało, tylko po to, żeby parę osób z góry mogło nas oglądać. A w ogóle to było takie nastawienie – Stalin to, Stalin tamto. Miałem zawsze krytyczny stosunek do tego, co się wówczas działo, bo słuchałem BBC. Natomiast miałem znajomych, nawet w Izraelu, którzy wpadli jakoś w te tryby komunistycznej propagandy i oni święcie wierzyli w Stalina. Nie wiem, ja nawet się dziwiłem, bo to byli ludzie na poziomie, wykształceni. Dla mnie to było niewytłumaczalne, jak oni mogli w coś takiego wierzyć.

Jeżeli chodzi o gminę warszawską i dzisiejsze środowisko żydowskie to wydaje mi się, że oni dużo robią „na siłę”. Na przykład szkoły języka jidysz. Nie uważam, żeby język żydowski miał przyszłość. Jidysz jeszcze istnieje ze względu na starszych ludzi. Ale żeby go „wskrzeszać”? Ja nie widzę takiej potrzeby. Może tylko dlatego, że w jidysz powstała wspaniała literatura autorstwa Szolema Alejchemy, Pereca, An-skiego.

Tak samo jest w gminie żydowskiej. Jest trochę młodych ludzi, ale ich cała działalność opiera się, jak sądzę, na pomocy finansowej z zagranicy. Zresztą trudno się na ten temat wypowiadać. Ja nie jestem uprzedzony. Może ludzie znajdują w judaizmie jakiś sposób na swoje życie. Niedawno czytałem w gazecie artykuł o młodej dziewczynie, która skarży się, że w Polsce bardzo trudno jest kupić kosztowną żywność. Nagle pojawiły się takie problemy! A tu były całe lata, kiedy nikt nie przychodził do synagogi. Ludzie wyjeżdżali do Izraela podejmując tym samym słuszną decyzję.

Nie korzystam z żadnych funduszy rekompensacyjnych, bo ja nie byłem w żadnym getcie. Ale jestem członkiem Stowarzyszenia Kombatantów Żydowskich. Wraz z innymi członkami tego stowarzyszenia trzy lata temu byliśmy w Niemczech. Zaproszono nas tam z ramienia Fundacji Kolbego [Maximilian Kolbe Werk – fundacja działająca na terenie Niemiec, której celem jest niesienie pomocy byłym więźniom obozów koncentracyjnych]. Osobiście odbieram to ze swego rodzaju zażenowaniem. Kolbe był w obozie i oddał życie za innego więźnia – to prawda, ale przed wojną był antysemitą. Wydawał nawet takie antyżydowskie broszurki. O przedwojennej działalności Kolbego w ogóle nikt nic nie wie. Życie przynosi nam różnego rodzaju niespodzianki i ludzie zmieniają także swoje poglądy, ale żeby od razu nazywać fundację jego imieniem? W każdym razie, otrzymaliśmy od nich zaproszenie po niemiecku i pojechaliśmy na spotkanie. Mieliśmy tam wizyty w różnych szkołach. Na spotkaniu było około 1000 uczniów oraz nauczyciele. Pewnego razu poproszono mnie, żebym przeczytał im coś po żydowsku, żeby mogli porównać czy ten język jest rzeczywiście podobny do języka niemieckiego. Więc im przeczytałem coś z Sutzkewera.

Obecnie należę i do Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów i do Gminy. Należę również do Komitetu Społecznego, którego celem jest remont pawilonu w Szpitalu Wolskim [w okresie międzywojennym mieścił się tu szpital żydowski]. Chcemy tam urządzić dom dzienny dla starszych osób. Prawie codziennie odwiedzam gminę. Korzystam z tutejszej stołówki, ponieważ moja żona jest bardzo schorowana i nie ma już siły gotować. Jestem członkiem Klubu Seniora przy gminie wyznaniowej. Spotykamy się kilka razy w tygodniu. Czasem mamy prelekcje dotyczące tematyki żydowskiej, ale najczęściej po prostu opowiadamy sobie swoje losy.